



GRAHAM MASTERTON

Eskimoskie duchy
upominają się
o ofiary.

Dom Martwego
Człowieka znowu
się otwiera.

demon zimna

ALBATROS

Tytuł oryginału:
SNOWMAN

Copyright © Graham Masterton 1999
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Paweł Wiczorek 2000

Korekta: Dorota Jakubowska, Piotr Królak

Projekt graficzny: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce oraz 1. i 3. stronie: Shutterstock; Freepik

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



ALBATROS

ROZDZIAŁ 1

Jim Rook wjechał na parking West Grove Community College z takim impetem, że łysiejące opony jego starego brązowego kabrioletu wydały z siebie serię jęśliwych pisków. Gwałtownie, aż cadillakiem ostro zabujało, zahamował na prywatnym miejscu dyrektora. Spróbował wysiąść bez otwierania drzwi, zahaczył przy tym butem o klamkę i wypuścił z rąk plik prac, które sprawdzał w domu. Rozsypały się po asfalcie, kilka pofrunęło w krzaki.

Był piętnaście minut spóźniony na pierwszą lekcję, zaczął więc jak wściekły skakać po parkingu i deptać kartki, by nie zwiął ich wiatr. Choć był początek czerwca, a powietrze przepełniał oślepiający blask słońca, wiała dokuczliwa południowa bryza, toteż powstrzymanie wypracowania Lindy Starewsky o Hamlecie przed

pofrunięciem w kierunku drzew wymagało natchnionego skoku przez krzewy jakarandy. Gdyby praca zginęła, nie byłaby to wielka strata dla krytyki literackiej.

– Halo, panie Rook! Nie wiedziałem, że wy, biali, umiecie tak dobrze tańczyć! – zawołał woźny Clarence, który właśnie przechodził z szufelką i skrobaczką do usuwania z chodników świeżych gum do żucia.

Jim zbyt się spieszył, by wymyślić ciętą odpowiedź. Pchnięciem barku otworzył boczne drzwi do szkoły i byle jak upchnął papierzyska pod pachą. Biegł do głównego korytarza, a rozwiązane sznurówki smagały podłogę. Po chwili zwolnił i już tylko pospiesznie kuśtykał, zbyt zdyszany i spragniony, by móc zmusić się do większego wysiłku. Obudził się niemal godzinę za późno z kacem wielkości Mount Rushmore i wypadł z mieszkania nawet bez łyka zwietrzałego gatorade. Na autostradzie utknął na ponad pół godziny, zakleszczony w morzu migoczącego metalu, i musiał wdychać spaliny z ośmiu pasów oraz znosić walące prosto w łeb poranne słońce.

Pochylił się przy poidelku. Ponieważ miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, walnął głową w ścianę. Otworzył usta, naprowadził je na strumień i dotknął go, ale zamiast się napić, zaczął ssać coś śliskiego, twardego i mocno zimnego.

– Co, do... fee! – krzyknął i szarpnął głowę do tyłu,

spluwając z obrzydzeniem.

Zdjął ray-bany. Woda wylatywała z metalowej końcówki i wznosiła się łukowatym, kryształowo czystym strumieniem w powietrzu. A przecież puścił kurek! Przyjrzał się bliżej i stwierdził, że strumień się nie porusza. Niepewnie wyciągnął dłoń i dotknął go. Pod palcem wyczuł lód.

Rozejrzał się, nic nie rozumiejąc. Korytarz był pusty. Pomieszczenia szkoły klimatyzowano i było w nich stosunkowo chłodno, ale jak to możliwe, by zamarzło poidelko? Odlamał kawałek lodu i zaczął go obracać w palcach.

Ciągle jeszcze go badał, kiedy drzwi wahadłowe na końcu korytarza otworzyły się z hukiem i pojawił się nowy kierownik nauczycieli języka angielskiego. Doktor Bruce Friendly był opryskliwym mężczyzną o długich kończynach i niezgrabnym ciele, zwieńczonym burzą poskręcanych siwych włosów. Poruszał się jak gigantyczna marionetka, wyrzucał nogi jedna przed drugą, jakby próbował strząsnąć stopy z łydek.

Miał przypominać głębokie jeziora, wąsko osadzone oczy, a jego przemyślenia, które sam uważał za wytwory głębokiego umysłu, dowodziły jedynie jego płytkości. Uważał na przykład, że uczenie bandy dyslektyków, Latynosów i postaci rodem z filmów Spike'a

Lee to graniczące z kryminałem marnotrawstwo podatków obywateli Los Angeles. Gdyby klasa specjalna Jima nie wywarła tak wielkiego wrażenia na ministrze edukacji Japonii, który odwiedził szkołę podczas niedawnej wizyty w Kalifornii, Friendly wpisałby jej wykończenie na listę swoich priorytetów – zaraz po zakupie dla siebie obrotowego fotela z wysokim oparciem i ustawieniu go w miejscu z widokiem na dziewczęcy kort tenisowy.

– Jest Japończykiem! Co on wie o angielskim?! Facet gada zawijasami!

Jim stał wpatrzony we wnętrze własnej dłoni; po chwili pan kierownik Friendly podszedł, stanął obok i też wbił w nie wzrok.

– I co pan na to powie? – spytał Jim.

– Nie nadążam, James. Co powiem na to, że ma pan mokrą rękę? Podejrzewam, że poci się pan, ponieważ się pan spóźnił, a z pańskiej klasy dolatuje hałas, jakby odbywała się tam druga bitwa nad Antietam.

– Teraz dłoń jest mokra, ale przed chwilą był tam lód.

Friendly popatrzył na niego, w najmniejszym stopniu nie starając się udawać zainteresowania ani sympatii.

– Już mówiłem, co sędzę o tym, co pan robi. Gdyby rada do spraw edukacji nie uważała, że jest pan cenną błyskotką dla mediów, już jutro rozwiązałbym z panem kontrakt i posłał ancymonów z pańskiej klasy do robienia

tego, do czego się urodzili, czyli do naprawiania samochodów, obsługiwania ludzi w barach z hamburgerami i sprzątania śmieci. James, kiedyś powinien się pan zastanowić i przestać wierzyć w to, że wyświadcza pan społeczeństwu przysługę! Uczyć Szekspira zbieranie dzieciaków, które nie umieją przeliterować własnego nazwiska!

– Co w tym złego? Szekspir też nie umiał przeliterować swojego nazwiska.

– Jeśli któryś z pańskich uczniów napisze coś choć w połowie tak dobrego jak *Troilus i Kresyda*, pozwolę mu literować swoje cholerne nazwisko, jak mu się tylko podoba.

Jim ciągle trzymał otwartą dłoń wnętrzem do góry.

– Nie chcę teraz dyskutować o drugiej klasie specjalnej. To był lód. Woda w poidelku zamarzła.

– Cóż, może mamy drobne kłopoty z urządzeniem do chłodzenia wody. Dlaczego nie zwróci się pan z tym do dozorczy?

– Nawet jeśli coś się stało z urządzeniem do chłodzenia wody, jak mogła zamarznąć w powietrzu? Wisiała w powietrzu, łukiem, zamarznięta!

– Był pan wczoraj na jakiejś imprezie? – spytał Friendly, dokładnie się przyglądając Jimowi. – Tak pan wygląda. Na jakiej podstawie tak podejrzewam? Chodzi o

wory pod oczami? Może o szczecinę? O oddech jak ze
świńskiego ryja?

– Owszem, byłem wczoraj na imprezie. Tak naprawdę to sam ją organizowałem. Parapetówkę. Właśnie wprowadziłem się do nowego mieszkania. Przecznicę od promenady, z cudownym widokiem na ocean... pod warunkiem że stanie się na parapecie okna w łazience z przymocowanym do laski lusterkiem i wygnie głowę do tyłu... o tak.

Friendly patrzył, jak Jim odchyła głowę do tyłu „o tak”, nic nie wskazywało jednak na to, by robiło to na nim najmniejsze wrażenie.

– Ile wypił pan w trakcie tej... parapetówki?

– Niewiele. A bo co? Może uraczyłem się jednym albo dwoma drinkami z tequilą.

– I?

– I wypilem dwa lub trzy piwa, no, może cztery. Ktoś przyniósł skrzynkę wina musującego. Świętowaliśmy, więc czego pan oczekuje? Nowe mieszkanie, nowy ja. Zastanawiam się nawet, czy kupić psa. Sznaucera. Nazwałbym go po panu: Doktor Friendly.

Kierownik ujął dłoń Jima i uniósł ją wyżej.

– Naprawdę widział pan lód, James? A może jest pan ciągle jeszcze pod wpływem? Z największą rozkoszą złożyłbym doniesienie, że pojawia się pan w szkole

niezdolny do wypełniania obowiązków służbowych.

– Przepraszam, ale jestem tak samo zdolny do wypełniania obowiązków służbowych jak pan. – Popatrzył na wystający brzuch Friendly’ego. – I prawdopodobnie lepiej przygotowany fizycznie.

– W takim razie niech pan wsadzi koszulę w spodnie i rusza do tej zbieraniny manekinów, którą nazywa swoją klasą.

Jim przez chwilę patrzył w bok, przyciskał dłoń do twarzy. Potem się odwrócił.

– Proszę mnie uważnie posłuchać. Dał pan w stu procentach do zrozumienia, że mnie nie lubi i nie widzi sensu istnienia mojej klasy. Jest pan kierownikiem nauczycieli języka angielskiego i ma pan prawo wyrażać osobiste opinie, nawet jeśli są pełne bigoterii, nietolerancyjne, ograniczone intelektualnie i niepedagogiczne. Moja klasa składa się z młodych ludzi, którzy stoczyli już w życiu dość walk, nawet bez gnojenia i poniżania przez osoby wyznaczone do tego, by im pomagać. Muszą radzić sobie z wadami wymowy, mają problemy poznawcze i niemal wszyscy pochodzą z byle jakich, ograniczonych rodzin, w których poza nimi nikt nie umie czytać i pisać, a gdy wezmą do ręki książkę, nawet rodzice dają im do zrozumienia, że uważają ich za wybryk natury. Jeśli więc chce pan obrażać mnie osobiście, proszę bardzo. Może mnie

pan nazywać, jak pan chce. Ale nigdy, przenigdy ma pan nie nazywać moich uczniów manekinami.

Friendly wziął powoli głęboki wdech i wydał wargi.

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli pójdzie pan do tej swojej ach-jak-potrzebnej klasy, zanim powie coś, czego będzie potem żałował. Poza tym ma pan nowego ucznia. Nazywa się Hubbard i pochodzi z Alaski. Z tego, co udało mi się zaobserwować, to pół Eskimos, pół idiota. Życzę dobrej zabawy.

Jim nie ufał sobie na tyle, by powiedzieć coś jeszcze. Wiedział, że jego klasa nie wszędzie cieszy się popularnością. Niektórzy członkowie rady pedagogicznej uważali, że daje uczniom nadzieję na poprawę statusu społecznego, której nie będą w stanie nigdy uzyskać, co w efekcie spowoduje u nich jeszcze większe rozczarowanie światem. Istniały okresy, kiedy szedł na udry z innymi nauczycielami i wręcz sprawiało mu to przyjemność – dawało zastrzyk adrenaliny – doktor Friendly był jednak tak nieustępliwie wrogi, że Jim z przyjemnością złapałby go za cienki krawat i dusił, aż wielka, końska twarz nabrałaby koloru ciemnej purpury.

Skręcił za następny róg i choć drzwi do jego klasy były zamknięte, od razu usłyszał, że Friendly miał rację, jeśli chodzi o hałas. Część uczniów wyła i się śmiała, część próbowała intonować przez nos własne wersje utworów

z cotygodniowej listy przebojów, trzy czarne dziewczyny śpiewały harmonijnym krzykiem *I Will Always Love You*. Jim wkroczył do klasy, podszedł do swojego biurka i rzucał na nie stertę prac, które sprawdzał w domu. Kiedy to zrobił, klasa natychmiast ucichła.

Stał i przez chwilę patrzył na uczniów; nie odzywał się, jakby przybył w wehikule czasu i zastanawiał się, w jakim jest stuleciu i kim są ci wszyscy dziwnie poubierani młodzi ludzie z niezwykle fryzurami i kolczykami w nosach.

Patrzyli na niego nie mniej zdziwieni – rozczochrany trzydziestosześcioletek w ciemnych okularach pilotkach i pogniecionej brązowej koszuli w turkusowy wzorek, przedstawiający postać na desce surfingowej. Niezły widok. Zegarek na stalowej bransoletce był stanowczo za wielki na chudy nadgarstek Jima, robocze spodnie w kolorze khaki wyglądały tak, jakby używał ich zamiast poduszki. Mimo próby przyglądzenia przy użyciu wody włosy sterczały mu z tyłu głowy jak czub papugi. Nie ogolił się.

Powoli zdjął okulary.

- Rany... – jęknął Washington Freeman III, wielki czarny chłopak, który zawsze siedział w pierwszej ławce.
- Wygląda pan, jakby spotkał po drodze Godzillę.
- Nie jest to pochlebny sposób wyrażania się o

doktorze Friendlym – odparł Jim bez śladu uśmiechu.

– Hej, nie to miałem na myśli. – Washington wyszczerzył zęby. – Mam na myśli, że wyglądasz pan jak gówno.

– Co to znaczy, że wyglądam jak gówno? – zażądał odpowiedzi Jim. Podszedł do ucznia i odchylił głowę do tyłu, by móc patrzeć mu w oczy. – Chcesz powiedzieć, że jestem brązowy jak czekolada i paruję, tak?

– Hm... nie, proszę pana, miałem na myśli, że...

– Używanie słowa „gówno” to świadczy o lenistwie, mętny sposób wyrażania myśli. Nie wspominając już o tym, że obraźliwy. Co napiszesz w następnym eseju? *Ojciec Hamleta przybył na ucztę i wyglądał jak gówno*? Jak sądzisz, jaki dostaniesz za to stopień?

– Nie miałem na myśli takiego gówna jak... gówniane gówno. Chciałem powiedzieć, no wie pan... gówno i już.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz po skończeniu szkoły napisać słownika. Posłuchaj, Washington, każdy, kto jako tako kuma angielski, nie musi używać takich słów jak „gówno”. Mógłbyś powiedzieć, że jestem błądy, wymizerowany, wykończony, mój organizm doznał spustoszeń albo wyglądam niewyraźnie. Mógłbyś stwierdzić, że jestem trupio błądy, pomarszczony jak suszona śliwka albo wyglądam jak zmięta kartka. Mógłbyś porównać moją twarz do nieposłanego łóżka, dwóch kilo

psującej się cielęciny albo tortu weselnego, który zostawiono na deszczu. Wszystko to znane metafory literackie.

Szedł powoli między rzędami ławek i patrzył po kolei na wszystkich osiemnastu uczniów. Biali, czarni, Latynosi, Chińczycy – wszyscy byli pokrzywdzeni społecznie nie tylko z powodu biedy i przynależenia do nieodpowiedniej mniejszości, ale także z powodu podstawowych problemów z czytaniem i jękaniem się, „ślepoty” na określone słowa, niedostatku koncentracji w stopniu, który mógłby zażenować komara.

– Jeszcze lepiej – dodał Jim – mógłbyś wymyślić własny opis mojego wyglądu. Mógłbyś ukuć nowe powiedzenie, wywołujące w umysłach ludzi wyraźny obraz, opisujący mój wygląd lepiej od fotografii. Ponieważ nie tylko wyglądam jak gówno, ale także czuję się jak gówno, będzie to wasze pierwsze dzisiejsze zadanie. Opiszcie mój skacowany wygląd w nie więcej niż dwunastu odpowiednio dobranych słowach.

Rozległ się ogólny jęk niezadowolenia, ktoś rzucił w Washingtona kulka papieru i trafiła go w czubek głowy.

– Następnym razem zostań w domu z mamusią, obrańcu.

Jim wrócił do biurka, po drodze wetknął w spodnie wystający skraj koszuli.

Suzie Wintz mrugnęła do niego porozumiewawczo.

– Wygląda na to, że ostro pan wczoraj zabalował.

Suzie zawsze wyglądała jak z żurnala. Miała szopę kręconych blond włosów, wielkie oczy w kolorze mięty i nieustannie wydymała wargi. Określała się mianem „modelki praktykantki”, ale mimo wielkiej pewności siebie i zmysłowości ledwie umiała sklecić trzy powiązane ze sobą logicznie zdania, a jednym z najbardziej pamiętnych było *Szekspir miał jaja i walił teksty jak Titanic*.

– Są w życiu trzy okazje, kiedy mężczyzna jest zobowiązany się dobrze zabawić – powiedział Jim, wyrównując stertę przyniesionych prac. – Pierwsza: kiedy przechodzi mutację. Druga: kiedy ma się żenić. I trzecia: kiedy dochodzi do wniosku, że życie w jednej trzeciej zaczyna mu się układać, a w dwóch trzecich powoli rozsypywać.

– Wymyślił pan to w tej chwili.

– Tak jest. Sprytny jestem, co? A teraz, tak jak prosiłem, zabierajcie się do roboty i ułóżcie dobry opis mojego wyglądu.

Popatrzył na chłopaka, który siedział dwie ławki za Lindą Starewsky. Na pierwszy rzut oka wyglądał – w porównaniu z większością uczniów – niezwykle dojrzałe i przystojnie. W wieku, w jakim byli jego uczniowie, większość miała jeszcze małe główki, wielkie nosy,

odstające uszy, a na twarzy całe konstelacje czerwonych plam. Jim określał ich mianem Quarków, kojarzyli mu się bowiem z jedną z postaci ze *Star Treka*. Ten chłopiec miał jednak kształtną twarz, proporcjami nieodbiegającą od twarzy dorosłego, wysokie kości policzkowe, prosty nos i wyrazistą szczękę. Czarne włosy przycięto mu na jeża, oczy promieniowały zaskakującym błękitem. Włożył bielusieńki T-shirt z napisem ANCHORAGE, ALASKA, sprane džinsy i drogie buty marki Timberland. Jak to się czasem zdarzało u chłopców o specyficznym, oliwkowym odcieniu skóry, emanował nadąsaniem, które przypominało Jimowi młodego Elvisa Presleya.

– A więc ty jesteś Jack Hubbard – powiedział Jim, podchodząc i wyciągając rękę. – Witam we wspaniałym świecie klasy specjalnej.

Jack zlustrował go od góry do dołu, po czym z wahaniem ujął i ucisnął podaną dłoń.

– Świetnie – stwierdził.

Tarquin Tree podniósł rękę i spytał:

– Czy mogę napisać to, co pan zadał, tak jakbym rapował?

Jim odwrócił się do Tarquina, chudego chłopca w T-shircie w żółto-czarne pasy, w którym wyglądał jak pszczoła.

– Możesz to napisać, jak chcesz, Tarquin, warunek

jest tylko taki, by było to oryginalne, opisowe, a „rap” nie rymowało się z „cap”.

– Czy kiedyś coś takiego zrobiłem, proszę pana? Mowy nie ma, żebym kiedyś coś takiego napisał. Jeśli kiedykolwiek przyłapie mnie pan na tym, że zrymuję „rap” i „cap”, za tyłek mnie pan złap. Może mi pan przywalić, może mnie pan łać równo, bo ja nigdy nie mówię takich brzydkich słów jak...

– Tarquin! – rzucił Jim, wskazując na niego palcem.

Chłopak natychmiast zamilkł, choć jego dłoń w dalszym ciągu postukiwała w stół w rapowym rytmie. Obecnej klasie Jim powiedział, że jego palec to blaster, a kiedy będzie go wystawiał, zamierza zabić. Nie wyciągał go często, ale gdy to robił, dzieciaki wiedziały, że nie żartuje. Palec oznaczał: „Przeholowałeś”.

– Na razie wszystko w porządku? – spytał Jacka Jim.
– Mieszkasz w La Grange?

– Jest okej. Tata wynajął dom. Nie wiem, na jak długo.

– Pracuje tu, tak?

– Kończy program do telewizji, o Alasce.

– Co będzie, jak go skończy?

– Nie wiem. Może zostaniemy, może nie.

– Wszędzie jeździsz za tatą?

– Nie mam wyboru. Mama umarła sześć lat temu. A

podróżowanie to jego zawód.

- Pewnie pogoda wydaje ci się u nas nieco inna.
- W Anchorage jest w porządku, znaczy się o tej porze roku. Ale na górze, w Yukon-Charley, jest dość zimno.
- Mam nadzieję, że będzie okazja, byś nam opowiedział o Alasce. Jakie miałeś możliwości nauki podczas pobytu w Parku Narodowym Yukon-Charley?

Jack wzruszył ramionami.

- Mieliśmy książki do czytania. Encyklopedie i różne takie.
- Jaką książkę czytałeś ostatnio?
- *Konserwacja skutera śnieżnego McGeary'ego*.
- Że co? – wyrzucił z siebie Washington, ale Jim spiorunował go wzrokiem, który miał oznaczać: „Pamiętasz swój pierwszy dzień, kiedy sam opowiadałeś, co czytałeś?”.

- A jakieś powieści, poezję, dramaty?

Jack pokręcił głową.

- Jedną powieść, *Proces*, o facecie, który idzie przez Saharę i podróżuje poza ciało.
- Ciekawe. Masz ją?
- Prawdopodobnie jest gdzieś spakowana, ale tak, chyba mam.
- Sahara to dość pustawe miejsce. Moim zdaniem podobnie jak Yukon-Charley. Czy coś, o czym pisano w tej

książce, wydało ci się znajome? No wiesz, na przykład poczucie izolacji albo coś innego.

Jack spuścił wzrok i przez chwilę się zastanawiał. W końcu uniósł głowę.

– Gdziekolwiek się jest, nie jest się samemu.

Jim zatoczył dłonią niewielki krąg, dając gestem do zrozumienia, że chciałby usłyszeć coś więcej.

– Można być wśród śniegu, setki kilometrów od najbliższego sklepu czy stacji. Gdziekolwiek się spojrzy, jest biało. Biel, biel, biel, aż przed oczami zaczynają tańczyć obrazy i robi się niedobrze. Nigdy jednak nie jesteś sam. Nigdy.

W głosie Jacka było coś, co kazało Jimowi uznać, że oswojenie się z samotnością na Alasce musiało być jednym z najważniejszych wyzwań w jego dotychczasowym życiu. „Biel, biel, biel, aż robi się niedobrze”. Od dawna nie słyszał, by któryś z jego uczniów tak emocjonalnie o czymś mówił. Przynajmniej odkąd Waylon Price poszedł pewnej nocy szukać siostry i znalazł ją w rozpadającym się domu w Melrose, martwą po przedawkowaniu.

– No cóż, jesteś w tej klasie nowy, ale już wkrótce powinieneś poczuć się jak u siebie. Pierwsze Prawo Rooka brzmi: wszyscy w tej klasie mają się przyjaźnić i sobie pomagać, Drugie Prawo Rooka stanowi bowiem, że nikt nie jest głupszy od kogoś innego, choć muszę przyznać,

że niektórzy mocno się starają je obalić. Wolno ci śmiać się z cudzych błędów, ponieważ tak samo jest w prawdziwym świecie, poza tą klasą. Każdy będzie się także śmiał z twoich błędów i musisz się nauczyć radzić sobie z tym powszechnym w życiu zjawiskiem.

Jack podniósł długopis.

– Chce pan, bym pana... opisał? Tak jak wszyscy?

– Oczywiście. Widzisz mnie po raz pierwszy, może wymyślisz coś świeżego.

– Jasne, na przykład że wygląda pan jak świeże gówno – wtrącił Ray Krueger, szybko kuląc głowę w nadziei, że Jim go nie zauważył.

– Ray – odparł natychmiast Jim – mam dla ciebie małe zadanie. Chcę, byś poszedł do męskiej toalety i oderwał z rolki sto listków papieru toaletowego. Napisz na każdym: *To jest jedyne miejsce na gówno*.

– Żartuje pan sobie. To mi zajmie wieki.

– Jeśli będziesz dyskutował, każę ci na każdym napisać *ekskrementy*.

Ray niechętnie wstał i ruszył do drzwi. Rozległy się gwizdy, klaskanie i okrzyki rodem z Bronxu. Ray był chudy i miał farbowane na jasny blond włosy, które spadały mu na oczy. Ale nawiązywał niesamowity kontakt ze zwierzętami – zachowywał się wobec nich wrażliwie, delikatnie, z niezwykłą intuicją – i rozpaczliwie chciał

zostać weterynarzem. Problem polegał na tym, że jego angielski pozostał na poziomie ośmiolatka, a Ray miał niepokojącą skłonność do wybuchania w najmniej odpowiednich momentach lawiną obelg i obscenizmów. Szkolny psychiatra uznał, że Ray cierpi na graniczny przypadek zespołu Tourette’a.

Kiedy wyszedł z klasy, Jim podszedł do swojego biurka i opadł na krzesło. Ze sterty, która wcześniej wylądowała na parkingowym asfalcie, zaczął wyjmować kolejne prace.

Tarquin Tree napisał: *Hamlet lazi i świruje bo jest jedynym kto zna prawdę o tym kto załatwił mu starego. Jedyny sposób w jaki może się zemścić to załatwić Króla Klaudiusza. Załatwia go, ale sam też zostaje załatwiony bo florety były zatrute. Morał jest taki że jeśli twoja matka jest niezłą laską to uważaj na wuja.*

Nieźle, pomyślał Jim. Przynajmniej przeczytał sztukę i ją zrozumiał. Chociaż nie umie się zbyt wyrażać na piśmie, podjął próbę.

Jim przeciągnął dłonią po twarzy, jakby mógł ją wygładzić i przefasonować, ale nie poprawiło mu to w najmniejszym stopniu nastroju. W szufladzie biurka miał prawdopodobnie jedną lub dwie tabletki anacinu, wyciągnął ją więc i zajrzał do środka.

– Ajaj! – wrzasnął natychmiast.

Przy samym brzegu szuflady, na dzienniku, leżał olbrzymi zielony szczur. Boże, musiał jakimś sposobem dostać się do środka, prawdopodobnie pod koniec zeszłego semestru, powoli się uduślił i zaczął gnić.

– Co się stało, proszę pana? – spytał Washington, nieco się unosząc na krześle. – Wygląda pan jak... jakby zobaczył ducha.

– Nic się nie stało, nic się nie stało. Nie ma powodu do paniki. – Jim wziął ołówek i ostrożnie dźgnął gryzonia. – Kyle, mógłbyś wezwać Clarence’a? Powiedz mu, żeby przyniósł rękawice ochronne i torbę na śmieci.

Zadziwiające, jak gęste futro urosło szczurowi i jak zgniłozielonego nabrało koloru. Jim znów dźgnął truchło, które ku jego niesmakowi rozpadło się, ukazując białe, półpłynne wnętrzości oraz błonę z przezroczystego, zielonego śluzu. Zapach był obrzydliwy – jak przejrzałego sera. Nagle Jim pojął, że to faktycznie przejrzały ser. Nie szczur, lecz kanapka z cambozolą i sałatą. Ostatniego dnia minionego semestru wrzucił ją tam w pośpiechu, kiedy do jego klasy przyszła się przedstawić nowa nauczycielka biologii, Karen Goudemark.

Podobnie jak królowa Danii, Karen Goudemark była superseksowna. Ciemnowłosa, ładna, pewna siebie, a na jej biust trudno było nie patrzeć... choć nie wypadało, w końcu oboje byli w pracy. Do tego wspaniałe usta. I

rewelacyjne łydki. Nie można witać się z taką kobietą, trzymając zjedzoną do połowy kanapkę z serem.

Przy akompaniamencie chóru wyrażających obrzydzenie odgłosów, balansując dziennikiem, Jim wyjął kanapkę z szuflady i wrzucił ją do kosza na śmieci.

– Coś bez dwóch zdań śmierdzi w państwie duńskim – powiedziała Billyjo Muntz, machając dłonią przed nosem.

– Dodatkowy punkt za spontaniczny i pasujący cytat z dzieł mistrza – skwitował Jim.

– Mam! Mam! – krzyknęła Joyce Capistrano. – Akt pierwszy, scena druga: *Świeża jest pamięć o nim...**.

– Dobrze, też masz dodatkowy punkt. Wracajmy jednak do pracy, dobrze? Muszę poukładać wasze prace domowe.

Właśnie siadał, gdy wrócił Ray. Nie miał ze sobą papieru toaletowego i marszczył czoło, jakby nie bardzo pojmował, co się z nim dzieje.

– Ray? Ray... wszystko w porządku?

Chłopak patrzył na Jima błędnym wzrokiem.

– Poszedłem do męskiej toalety...

– To dobrze. I co?

– I... chyba lepiej, jeśli sam pan popatrzy.

* Przekład S. Barańczaka.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).